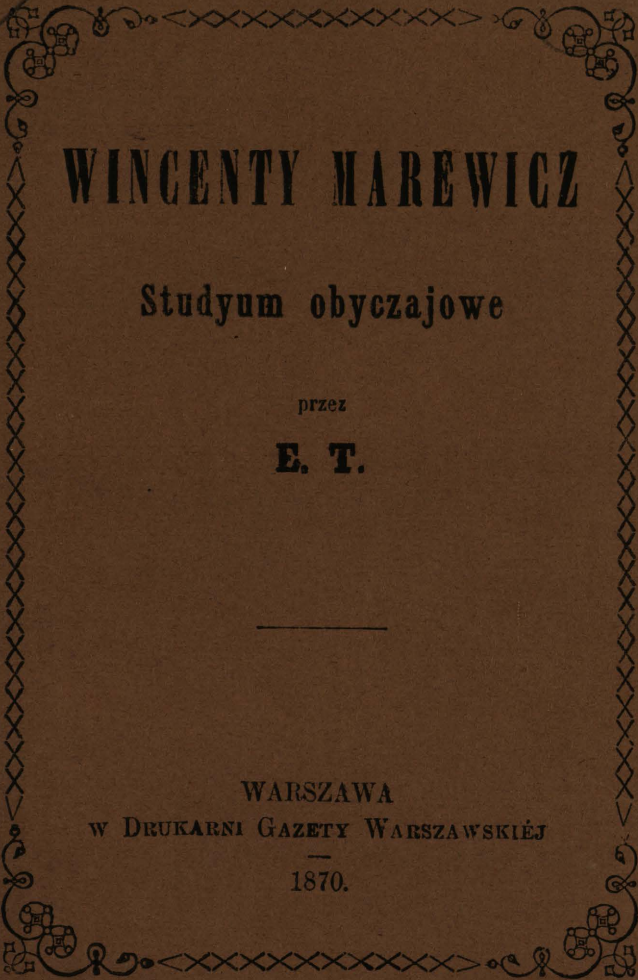


484.

WINCENTY MAREWICZ

Studyum obyczajowe

przez

E. T.

WARSZAWA
w Drukarni Gazety Warszawskiej
—
1870.

2484.

WINCENTY MAREWICZ

WINCENTY MAREWICZ

Stydum obyczajowe

przez

E. T.

WARSZAWA

W DRUKARNI GAZETY WARSZAWSKIEJ

1870.

INSTITUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72

Tel. 26-68-63

<https://rcin.org.pl>



Дозволено Цензурою

Варшава, 27 Марта (8 Апрелья) 1870.

WARSAWA

7866

Odbitka z Gazety Warszawskiej.

Pragnąc o ile można uzupełnić wiadomość o dziełach drukowanych Marewicza, wyśmianych współcześnie, a dziś zupełnie zapomnianych, mając pod ręką znaczny ich zbiorek w bibliotece ordynacyi Birżańskiej, i widząc, że z pism jego możnaby dokładniejszą o życiu autora powziąć wiadomość, nie bez pewnej korzyści odczytałem je z uwagą, bo w nich się odmalował obraz dziwaczego żywota głośnego lecz niefortunnego literata, żywota, z którego nawet możnaby jakieś studyum obyczajowe ułożyć. Człowiek nie bez pewnych zdolności, lecz bez żadnego wychowania początkowego, który nauk nawet szkolnych nie posiadał, a co najważniejsza nigdy sam nad sobą nie pracował, obrał zawód autorski i rwał się na Parnas, nie oglądając się na nic, jakby chcąc wyprzedzić współczesnych jemu Trembeckiego, Naruszewicza i innych. Jak wszyscy ludzie niedowarzeni, którzy albo źle, albo nicze-

go się nie ucząc, na fałszywej stoją drodze, gdy już sobie jakiś zawód obiorą, tak i Marewicz na wszystkich narzekał i z niczego nie był zadowolony. Dla nich świat jest zły i zepsuty, ludzie egoiści nie umiejący prawdziwych talentów oceniać; z pogardą wyśmiewają możniejszych, sami wyglądając jak święci tureccy; za zdroszczą losowi drugich, sami na żadnym nie mogąc utrzymać się stanowisku. Ich miłość własna nie dozwalała im myśleć nawet, że niezdolni i niepotrzebni w społeczeństwie, są jakby jakie zawałidrogi na świecie; ale przypisują swoje niepowodzenia intrydze, przedajności, złemu sercu i Bóg wie jakim tam wadom i przewinieniom bliźnich.

Jednym z takich maruderów społeczeństwa, co miejsca nigdzie nie zagrzał, co nie mając nic własnego, bez pracy chciał mieć kawał chleba, a bez nauki i kształcenia samego siebie zasłużyć na chwałę wzorowego pisarza, co się rzucał na wszystkie strony jak w ciuciubabce, a nuż przypadkiem coś złowi, co ogadywał i szyderczo opisywał bogatszych od siebie, a do ich kłamki wiecznie kołatał, co był najmocniej przekonany, że jest zdolny do wszystkiego, a rzeczywiście dobrze niczego nie umiał,—słowem takim człowiekiem niedokończonym był w XVIII w. pan Wincenty Marewicz herbu Kościeszka. Przed bliższem poznaniem jego utworów, nieraz zadawałem sobie pytanie: dla czego pisarz ten do ostatniego rzędu bazgraczy u nas był policzo-

ny? Dla czego wiersze Marewicza ogólnie były wyśmiane (*), gdy innych autorów często daleko gorsze tolerowane były? W takim razie zdawałoby się, że oprócz płodów literackich, autor ten w charakterze swoim i w czynnościach całego życia musiał mieć coś, co go na śmieszność narażało; albowiem w młodości mojej wszyscy, z którymi żyłem, pamiętali dobrze naszego poetę, i dosyć było imię Marewicza wspomnieć w towarzystwie, ażeby śmiech ogólny wywołać. Rzućmy więc okiem na cały przebieg jego pięćdziesięcio-ośmioletniego życia, a fakta przez niego samego podane odsłonią przed nami obrazek, jaki się często pojawiał w wieku minionym, to jest kiedy się łatwiej wypielegno-

(*) Do jakiego stopnia imię Marewicza stało się typem na oznaczenie złego poety, przytaczamy tu następujące przykłady:

Kiedy sławnych w narodzie rymotwórców liczę,
Sami na koniec pióra śpieszą Marewicze.

(Feliński).

Ja Węgierskich, Krasickich naśladować życzę,

A rym mówi, iż lepsi Zgierscy, Marewicze.

(M. Żyliński. Satyra do J. U. Niemcewicz, radząc się jak pisać wiersze. Tyg. Wil. t. X. r. 1820, str. 372).

Kiedy mi bóstwo darów swoich nie użycza,

Gdy nie mam ognia Zgierskich, Baki, Marewicza...

(Wiersz do M. H. nadesłany z Krzemieńca. Tygod. Wil. Tom XI str. 302, rok 1821).

wywać mogły takie indywidua, o jakie jednakże i w naszym stuleciu z łaski Boga nietrudno.

Pochodzenie Marewicza opisane w książeczce: *Ostatnia do Laury odezwa*, nicby nie miało w sobie ani krzywdzącego, ani ubliżającego autorowi, ceniącemu tylko osobiste w człowieku zalety, gdyby nie raziło śmiesznością, że opowiedziano je w miłosnej deklaracji i skierowano do osoby, jak sam w dedykacji do ~~Rapackiego~~ woj. chełmińskiego powiada, „znakomitój urodzeniem, zacnego pokrewieństwa, majątku wielkiego, edukacji wysokićj i wdzięków dosyć silnych.”

Czaps „Poprzednicy moi, pisze pan rotmistrz, tak z ojca jako i z matki nie byli wielkoludami. Dziad Konstanty Marewicz miał ziemską niegdyś posiadłość, ale za najścia Szwedów ją utracił. Ojciec Bazyli Antoni przez nieedukację i niedbalstwo był biedny... Matka z domu Kosiłowska, herbu Jastrzębiec, również ubogą była. Rodzice mieszkali na niewielkim kawałku roli, danym z łaski Downarowicza skarbnego kowieńskiego, krewnego matki, w Trockim powiecie, a intratę zapracowaną ojciec wiernie oddawał zawsze do schowu ochoczym gospodarzom gościnnych domów. (Czy można delikatniej powiedzieć, że przepijał?). Matki majątkiem były względy pań, u których za młodu służyła, i igła.” O pokrewieństwie matki, o czém wybornie mógłby zamilczeć, wspomina przed Laurą, że się składa z bardzo ubogich ludzi, jak np.

z firsów służących kupcom splawnym (ostatni rodzaj zarobku), i z dozorców cudzej trzody (po prostu wiejskich pastuchów); ale wszyscy są cnotliwi i do Marewicza bardzo przywiązani.

Większej otwartości od starającego się o rękę znakomitej panienki żądać nawet niepodobna. Szezery i nieobludny w czynnościach i w mowie, pan rotmistrz widocznie pogardzał tém niesumienném zdaniem Francuzów: *En fait de mariage trompe qui peut.*

Dalej zaczynając już mówić o sobie, tak pisze: „Ja zaś ze składki rodziców moich na mnie jedynaka czynionój, imię, które noszę, winienem ojcowi, a edukacyę matce.” Obaczmyż tedy z czego składała się biblioteczka jego matki, z której Marewicz pierwsze czerpał zasady wychowania, gdyż jako widocznie dbały o to, ażeby najmniejszy szczegół jego życia nie zaginął dla potomności, cytuje nawet tytuły dzieł, dla nas pod względem bibliograficznym niepospolity mających urok:

1. Lira niebieskiej melodyi i duda niezgrabnie nastrojona, czyli jęki wrzaskliwe potępieńców piekielnych.

2. Hu, hu! czyli puhacz okropny, albo przykłady nocnych strachów na dwa tomy podzielone.

3. Kundel piekielny, na schwytanie duszy pobożnej tajemnie czatujący.

4. Kuryer czyscowy po ratunek dusz w czyscu zostających wysłany.

5. Burka czyli dostatnia opończa na zasłone

odgwałtownych wichrów i niepogody światowej.

6. Pięć pigułek bardzo skutecznych, albo modlitwy do pięciu ran Chrystusowych.

7. Pistolet na zabicie grzechu śmiertelnego.

8. Pardon, Pardon! czyli modlitwy pustelnika na pokucie zostającego.

9. Ni tak ni owak, albo różne historie pobożne i zabawne.

10. Nocna koszula, czyli medytacje o śmierci.

11. Świece jarzące, albo nieustanne oddawanie czci Bogu.

12. Historia o siedmiu mędracach doskonałych.

13. Czary z odczarowaniami i zaklęcia z odklęciami, czyli historia o królownie sycylijskiej.

Kiedy doszedł do lat 18 (w 1788 r. pisze, że przeżył lat 30, a więc urodzić się musiał około 1758 r.), Marewicz rozpoczął nowy, dosyć oryginalny, lubo w owych czasach dosyć pospolity rodzaj życia. Cytujemy tu własne jego słowa z listu pisanego do Laury: „Zacząłem w r. 1776 po kraju, bez żadnego zamiaru, podróżowanie moje kilkoletnie, do którego chęć usunięcia się od zbytecznej zwierzchników szkolnych srogości była mi powodem (a więc uciekł ze szkół). Błąkając się po różnych miejscach, trafiłem w dom matki twojej, i tam cię pierwszy raz zobaczyłem.” Było to w grudniu; Marewicz przemarzły i od pierwszego spojrzenia grotem Kupidyna ugodzony, kilka słów nieskładnych i nieznaczących rekomendując się przemówił. Od matki i od córek źle był przyjęty, tylko Laura

była grzeczniejsza. Dwie godziny ledwie tam zabawił i dalej powędrował. Następnie u ciotki swojej Steckiej chorował niebezpiecznie przez dwa miesiące. Po odnowionej nieprędko z Laurą znajomości, pisze że już wtenczas tylko nią był zajęty.

Byłem ja. Lecz już nie ja. Istność bez istoty.

Któż siebie mnie samemu odebrał? Ach to Ty!

Jeszcze lat kilka włóczył się bez celu od komina do komina po różnych stronach, marnując młode lata i wdrażając się do próżniackiego życia. W Połockiem u krewnego swojego Snarskiego, poznał się z pewną sąsiadką i zakochał się w niej, chciał los swój zdecydować, ale familia wydała ją za innego. Pisze i o tém do Laury, uspakajając ją, że w przystępie téj miłości w momentach swobodniejszych myślał także i o niej.

W jakichś interesach własnych, a najprawdopodobniej, jak wówczas mówiono, *do fortuny w umizgi*, pojechał do Warszawy, gdzie bawił półtrzecia roku. Tam stracił się do szeląga, jak powiada, „na niepotrzebne w nadmierném utrzymaniu figury błyszczenie się”, a oprócz elegancyi, jeszcze na uganianie się za wdziękami pięknych twarzyczek (to wszystko pisze do Laury). Gdy zbankrutował, domyślił się i wydrukował potem dla nauki drugich te prawdy, które od początku świata były wszystkim wiadome. Przyszło do grzecznej zebranki, gdyż pisze, że względy panów kupować musiał „zna-

cznem zawstydzeniem się swoim", i upodlajacym proszacego płaszczeniem się. Wsparty datkami wyproszonemi, w 1783 roku powrócił do Wilna.

Tu ropoczyna się zupełnie nowy okres życia Marewicza. Zbyt czulego serca, został ofiarą nieszczęśliwej miłości, która go z początku jakąś nadzieją w jego imaginacyi utworzoną łudziła; a gdy się najnietafniej wziął do nierównej w zaloty, okryty śmiesznością, został tylko upokorzonym, lecz nie wyleczonym z tego cierpienia. Niepowodzenie to natchnęło naszego wieszca poezyą; odtąd bowiem pierwszy raz zaczął próbować sił swoich w rymach, mających za cel uwielbienie okrutnej, lecz zawsze pani jego serca Laury. Rzecz tak się miała:

W kościele księży Bernardynów wileńskich w czasie nabożeństwa ujrzał siedzącą w ławkach anioła nie kobietę. Kilka razy ją widział, umyślnie co niedziela chodząc do tego kościoła, aż się od sług miejscowych dowiedział, że to była Barbara J., którą poznał przed siedmiu laty, będąc źle przyjęty w domu jej matki, a której odtąd w swych pismach Laury dał imię. Mieszkała ona z ciotką w klasztorze PP. Bernardynek przy kościele Św. Michała, gdzie pobierała wychowanie od przychodzących z miasta metrów i nauczycieli. Weisnął się tam pod zgrabnym pretekstem Marewicz; zaczął bywać u niej w *parlatoryum*; grzecznie dosyć przyjmowany, ofiarowywał jej swoje wiersze; ale wkrótce chciał

miłość swoją daleko wyraziściej zadeklarować.

Układa więc amatorski teatr, umyślnie na ten cel pisze sztukę *Miłość dla cnoty*, zbiera jak powiada, kilka dziewcząt, kilku młodych z konwiktów chłopców, kilku tytularnych oficerów, „z których ja (są słowa autora) i żaden nieznający doskonale teatru, nauczyliśmy się ról naszych i ośmieliliśmy się grać one. Moim zaś mistrzem jedyna tylko miłość była, ucząca mnie w czulszym sposobie wymawiać te wyrazy, które z głębi mojego serca w interesowanej roli miłość dyktowała.” Ostatki stracił na jakie takie urządzenie sceny i miejsc dla publiczności; a kiedy wszystko było gotowe, udał się osobiście do klasztoru dla zanieśienia Laurze biletów i uproszenia, by na pierwszym tém widowisku być rządziła. Młoda panienka, zapewne dla rozrywki wśród klasztornej monotonna życia, była z ciotką w teatrze. Marewicz spotkał ją, i jak pisze, „usta moje pełne najcieplejszego ognia w jej rączki wpołem.” Wszędzie tego wieczora dawał Laurze poznać, że to widowisko dla niej tylko było urządzone, a co gorsza, że na scenie wszystko co mówił, do niej tylko jednej adresował.

Fatalnie nieborak ukartował swoje interesa: bo Laura jako osoba przyzwoita, zrozumiałwszy co się święci, nigdy już, chociaż bilety były jej zanoszone, nie była na teatrze. Co większa, odtąd już Marewicza w klasztorze nie przyjmowano, i nigdy więcej w życiu Laury nie widział.

Jakże mogło być inaczej? Marewicz zniechęcony niepowodzeniem, zamknął swój improwizowany teatrzyk; jednak w pięć lat później opisując to zdarzenie, wini swój „nieprzezór, porywczosć i małą uwagę,” powiadając, że „lepiej jest śmiać się samemu, jak drugim śmieszyć.” Szkoda, że mu to pierwój na myśl nie przyszło!

W żalach swoich pisze do Laury po kilku latach, wzmiankując, że był od niej wyśmiany, ale nie Laurę o to obwinia, lecz towarzystwo (ciotkę), którego słuchać obowiązana była. Chcąc reparować się jak można, udał się do braci panny Laury; ale jeden z nich przyjął go groźnie (?), a drugi zimno i obojętnie. We wszystkich swoich miłostkach, tak często powtarzanych, pan rotmistrz bardzo był niedyskretny, bo wszystkie zwierzenia się, które, jak sam powiadał, im tylko dwojgu miały być wiadome, nazajutrz drukował i po domach roznosił, ceniąc te tajemne wyznania, w sielankach i idyllach opisane, po 15 a mniejsze po 8 groszy.

Lecz któż była ta tajemnicza Laura? Rzecz nie do pojęcia, że gadatliwy do zbytku p. Wincenty, w dwudziestu kilku ogłoszonych drukiem dziełach (które wszystkie zresztą do jednej kieszeni schowaćby można), nie wypaplał nigdy jój prawdziwego nazwiska, a tylko w roku 1788 na posłuchaniu u króla w Warszawie, przed nim jednym odkrył tę tajemnicę, zapewne mniemając, że to króla bardzo zainteresuje. Król w duchu musiał być uszczęśliwiony, widząc takiego

oryginała; lecz przez to samo pan rotmistrz dał poznać swoją śmieszną stronę, i nie dziwnego, że został zapomniany na zawsze, a lubo na prośbę o pomocy protekcję nie otrzymał odmownej odpowiedzi, jednak te obiecanki Poniatowskiego były zamkami na lodzie, w których i Marewicz tymczasowo zakwaterował.

Marewicz w klasztorze poznał Barbarę J. mieszkającą przy ciotce, a w jednym z listów do Laury, bo tak pannę Barbarę w pismach swoich nazywa, wyraźnie powiada: „Człek w narodzie naszym wielki przez unieszczenie córki swojej w domu waszym dodał większego lustru.” Ztąd nasz wniosek, dziś trudny do sprawdzenia, że panna Barbara należała do znakomitej Jelskich rodziny, a może i rodziła się z Sapieżanki, jest tylko domysłem, opartym wszakże na podobieństwie do prawdy.

W ostatniej do Laury odezwie, drukowanej w 1788 roku, gdzie mówi: „Jam już nie młodziak... już ja nie Winceś i tyś już nie Basia,” natręt ten zaleca Laurze, ażeby w całym życiu swoim rządziła się prawidłami, przepisaniem w liście do siostry jego jakiejś Kalechiewiczowej, a jeżeli mężatką zostanie, niech dopełni prawideł wyrażonych w liście do idącej za mąż innej siostry jego Steckiej. Kończy to ostatnią w tak rozognionej miłości odezwę do Laury: „Ja będę zawsze twoim bezinteresownym przyjacielem, ty zaś jeżeli chcesz, pamiętaj o mnie, jeżeli nie chcesz, zapomnij sobie.

„Adie (sic) Basiu.”

Po czterech latach pobytu w Wilnie, Marewicz wyruszył znowu do Warszawy z nowym talentem. Jakiś cygan nauczył go grać na drumli, i tą oryginalnością Marewicz zabawiał w stolicy nowych znajomych. To, czém go miłość natchnęła, zaczął już drukować widocznie w celu zapewnienia sobie jakiegoś stałego dochodu, bo każde swoje wydanie, które się jak z rękawa sypały, skierowywał do pochlebstw i łaski pańskiej, dla każdego z magnatów układając dedykacye. Wiersze podówczas bardzo były w modzie; był to czas, w którym odrodzony język i piśmiennictwo polskie wmówiło sobie, że nic łatwiejszego jak być poetą. A że to bez żadnej pracy przychodziło chcącym tylko byle pisać, nasz rotmistrz obrał sobie ten na pozór popłatny zawód, bo i król i panowie protegowali tego rodzaju zasługi, ale tylko z tą różnicą, że król wspierał prawdziwe talenta, a panowie przyjmując dedykacye, byle czém w przedpokoju zbywali autorów.

Z Warszawy jeździł do Krakowa i tam znalazł protektorów w księdzu biskupie Olechowskim i profesorze Czerwiakowskim. Tam, jak wszędzie, zakochał się niemiłosiernie; ale widząc wyraźną skłonność panienki ku innemu, dobrowolnie odstąpił.

W pracach Marewicza najpłodniejsze były lata od 1786 do 1796. Oto jest spis znanych nam wydań tego autora:

Samotne zabawki wierszem, 1786.

Wydane (nie) w 1786.

Zdarzenia czyli sny wierszem i prozą, 1786.
O dobrowolnych podatkach, projekt na sejm,
1786.

Miłość dla cnoty, komedia w trzech aktach,
1787.

Projekt nieuskruteczniiony, 1787, Warszawa,
ded. ks. gen. Z. P.

Przysłowia i maksymy, 1788, Warszawa, ded.
ks. Woroniczowi.

Ostatnia do Laury odezwa, 1788, Warszawa,
ded. woj. chełm. Czapskiemu.

Sielanki, 1788, Warszawa, ded. Kazimierzowi
Rzewuskiemu.

Do Stanów Sejmujących, wiersz, 1788.

Waryacya, wiersz nowego rodzaju, 1788,
Warszawa.

Różne wiersze, 1788, Warszawa.

Gołąb, 1788, Warszawa.

Doświadczenie czyli myśl w chorobie, wiersz,
1788

Ustronne zabawki wierszem i prozą, 1789,
Kraków, ded. dziewięciu osobom.

Dorywcze zabawki, 1789, Warszawa.

Uwagi nad losem biednej Teklusi, z prośbą
do króla, wierszem i prozą, 1789.

Zaraza powszechna, czyli mody damskie, 1789.

Szczerze interesowanie się Marewicza za Mare-
wiczem, do JO. księcia Macieja Radziwiłła, 1791.

Satyra zamiast wdzięczności, 1792, Wilno.

Opis illuminacyi danéj na przedmieściu wi-
leńskiem w chałupce Wincentego Ignacego Ma-

rewicza, 1792, ded. Ant. Tyzenhauzowi prezyd. miasta Wilna.

Miłość wszystkich porównywa, komedia, 1796, Wilno.

Żona opuszczona na bezludnej wyspie, drama w 1 akcie, 1795, Wilno.

Szczęście w nieszczęściu, czyli wzór stałości, ludzkości i cierpliwości, 1797, Warszawa.

Wszystko się skończyło na projekcie, komedia w dwóch aktach, Wilno.

Przemiana, wierszem i prozą.

Rozbrat z Warszawą, wierszem.

Oprócz wyliczonych i prócz innych drobniaków drukowanych, zostały jeszcze po Marewiczu w rękopismach nieukończonych:

Historia życia mego.

Kazania.

Tajemnice i sekreta.

Czułość niespokojna kochanków, opera.

Marewicz w wierszu „Waryacya” przyznaje się, że jako nie uczący się poezyi pisał zawsze bez reguł, tak i w tym nowym gatunku wierszów, sam sobie prawa ukladał. Widocznie dbał o ozdobę swoich wydań, zwykle malutkich, a często kilkoćwiartkowych, bo jest kilka odmian winiety jego własnej, na których podstawa z herbem Kościesza, a wyżej cyfra W. M. wspólnie związana. Na jednej cyfra ta jest w sercu gorejącem przebitą strzałą, w której w miejscu piór widzimy litery B. J.; jest to cyfra ulubionej jego Barbary.

Swoje stosunki ówczesne z magnatami i bywanie w ich domach tak opisuje w odezwie do kochanki: „A chociaż za progiem jeszcze zdjęta czapkę i we cztery granie złożoną trzymam przed sobą dla oddania każdemu z liberyi czołobitności, żaden atoli z miejsc swoich nie ruszając się, ledwo mnie uraczyć zechce szyderskim uśmiechem i wzgardnieniem przez ramię spojrzeniem, i zawoła: „Stój panie rozumny, aż oznajmię panu.” Marewicz doszedłszy do tego stopnia ogólnego lekceważenia, nie znalazł w sobie dosyć charakteru, ażeby więcej na takie nie narażał się przyjęcia.

W Warszawie w nowe miłosne sidła wplątany został. Róża zupełnie zawróciła mu głowę: W sielance do jej ojca w 1788 r. pisaney, tak powiada:

O... trzeba mi się żenić... trzydzieści lat żyłem,
Nic dobrego dla kraju jeszcze nie zrobiłem,

Dość mi jest już jałowieć... trzeba mieć żoninę:

Wiesz co panie Jędrzeju!... daj mi swą Rozyne.

Daléj mówi o sobie:

Nie mam dóbr... lecz pomyślny los mnie przecie

Bo przyrzeczona mi jest od króla opieka. [czeka,

W dziełku: *Projekt nieuskuteczniiony*, przeprasza, że utrudza, ale to przypisuje wielkości i znaczeniu osoby księcia, mówiąc:

Stań się książę, choć na czas jakiś jak ja Marewi-

A ręczę: nie zatrudni nigdy Cię nikt niczém. [czem!

W tej książeczce opisuje miłość swą dla Rozy-
ny, i znudziłby niesłychanie czytelnika, którego



to zgoła nie interesuje, gdyby nie było prawdziwie godnych śmiechu czyli raczej wyśmiania ustępów. Nie zaręczony, ledwo znajomy nawet, co gorsza, jak czytamy, pogardzony przez Rózię, już w myśli ożeniony, przywozi ją do domu matki, i pełen aż do ckliwości pasterskiej prostoty, opisuje swoje z nią pożycie, które całe sielankowym duchem przesiąknięte, przeplatane jest uwagami moralizującymi, w codzienném pożyciu równającymi się gderaniu, czego kobiety najbardziej znieść nie mogą. Zwraca uwagę Rózi na następny naprzykład szczegół: że cały ten projekt, opisanie *Miast* ze skutkami złemi dla ich mieszkańców, *Wsiów* z ich użytecznością i powabami, *Systema Edukacyi* dla płci obojga, był przygotowany dla Laury, ale go teraz Rózi ofiaruje.

Kończy swą dedykację temi słowy: „Róziu, goły jestem, ale mam szczerą ku tobie miłość; pójdę do króla i prosić go będę o kawałek roli, ażebym mógł być użyteczny krajowi przez *objawianie przemysłu i doświadczeń rolniczych*.” Uniwersalny człowiek!

Małżeństwo z Rózią skończyło się na projekcie, dla tego tylko podług jego zdania, że rywal był ubrany po francuzku i człowiek miastowy.

W 1791 r. Marewicz znowu zjawia się w Wilnie i dalej. Wszędzie doznawszy zawodu, a zwąchawszy niezły kasek, udaje się do względów księcia Macieja Radziwiłła, który świeżo został opiekunem całej fortuny ks. Dominika. W Nie-

świeżu podał mu rękopism pod tytułem: *Szczerze interesowanie się Marewiczą za Marewiczem*—gdzie wyraża, że księcia nie zna osobiście. Każdego nudząc swojami miłostkami, i tu opowiada: „że każdej z nich jeden był koniec i z jednakich przyczyn, to jest ze wstępu do chlubienia się i pochlebstwa. Każdej nie pytany nawet opowiedziałem mój los biedny, nie chlubiąc się nigdy majątkiem niebyłym i być nie mogącym, i każdej bez pochlebstwa prawdę powiedziałem otwarcie. Śmieją się niektórzy z tego mojego przedsięwzięcia, lecz ja:

Czy to jest cnota, czyli moją winą,

Wolę być śmiechu niż płaczu przyczyną.”

Prosi księcia o wsparcie takie, ażeby miał dom, ziemię uprawną, ogród, ażeby go książę ocenił, bo chce koniecznie być ojcem, a gdy to życzenie będzie spełnione,

I wtenczas w Połoneczce (1) siadłszy na gałęzi,

Będę śpiewał piosneczki rozmaitej więzi,

Pierwszym, wtórym lub tenorem

Latając po nadedworem.

Będę móm szczebiotaniem każdemu to prawił,

Żeś pióra me wyjaśnił, i głos mój poprawił.

A gdy mnie dasz samiczkę do pary i gniazdo,

Z wschodzącą budzący się wraz jutrzeńki gwiazdą,

Z samiczką w najszczerzej zgodzie,

Będę rozmyślał o płodzie,

(1) Połoneczka, rezydencya ks. Macieja w pow. Nowogrodzkim.

I różnej płci i farby wyległszy pisklęta,
Daruję na zabawkę Ci Marewiczęta..

Potrzeba wiedzieć, że książę sam miał passyę pisania wierszy (2); przez współczucie więc dla chudego kolegi chciał mu być pomocnym. Sumienny książę z własnej szkatuły zapomógł go, i za tę sumkę Marewicz kupił domek na Łukiszkach w Wilnie w 1792 r., a jako już obywatel miasta, został wybrany na urzędnika muncypalnego. Tam obchodząc pewną uroczystość, najdziwaczniejszą, zrobił illuminacyę z transparentami, kwiatami, allegoryami, śpiewanemi kantatami i nieprzebraną liczbą ponapisywanych wszędzie wierszy, co wszystko na malutkim mieściło się wzgórk, nazwanym szumnie przez Marewicza „górá Stanisława.” Na to wszystko wyprosił, jak sam powiada, wsparcie kieszonkowe u księcia Michała Ogińskiego, a jako już od miasta wybrany na „assesorą koła porządkowego w cyrkule drugim,” zaprosił na tę uroczystość ówczesnego prezesa miasta Antoniego

(2) Wiersze jego nie miały zalet potrzebnych. Największą łatwość okazywał w zadanych sobie kadencyach, do których myśl i słowa dobierał, jak inni dobierają kadencye do słów i myśli. Książę to pisał dla własnej rozrywki i nigdy prac swoich nie drukował. Sądząc z tych co miałem w ręku, wnosić można, że gdyby były drukowane, potomność byłaby w wielkim kłopotcie, komu między nim a Marewiczem oddać pierwszeństwo.

Tyzenhauza, któremu też opisanie tój illuminacyi z obszerną i przepełnioną pochlebstwami dedykacją przypisał.

Ostatnia znana nam publiczna wzmianka o Marewiczu, udzielona piszącemu została przez art. dram. Rogowskiego, jako materyał do rysu historycznego przedstawień dramatycznych, drukowanego w *Wizerunkach i Roztrząsaniach naukowych* w 1841 r. Kiedy teatr wileński w r. 1795 źle osadzony, żadnych prawie nie miał dochodów, Marewicz napisał sztukę *Miłość wszystkich porównywa*, i sam grał rolę *Lindora*, ubrany w taratatce, w żółtych bótach, z podgoloną głową, żona zaś jego udawała *Laure* i ubrana była po staroświecku zarówno jak jój kochanek. Grali dwa spektakle, z czego kompania artystów dramatycznych znaczny zasilek odniosła. Nareszcie więc znalazł dla siebie żonkę długo jój szukający Marewicz, i to jak widać kubek w kubek podobną do niego.

Marewicz w gruncie był poczciwym człowiekiem, dobre miał serce i skwapliwe do miłosiernych uczynków. Pisząc do Czapskiego, woj. chełmińskiego, prosi, aby po jego śmierci opiekował się jego matką i niejakim Żukowskim szlachcicem oszmiańskim, jego sługą wiernym. Ułożył nawet wierszem nagrobek dla siebie, których jest kilka w jego dziełach; żył jeszcze lat ze trzydzieści, i po śmierci nie otrzymał grobowego napisu na mogile. Poleca Czapskiemu swój rękopism, napisany dla ostrzeżenia: *Wywnętrzenie*

charakteru ludzi umaskowanych, prosząc, ażeby go kazał po śmierci autora wydrukować. Ze wszystkich prac Marewicza, może to jedyna, której zatracenia żałować potrzeba. O dobroczyńcach swoich zawsze z wdzięcznością wspominał.

Sądząc go jako autora, nie samym tylko utworom jego przypisać należałoby tę śmieszność i wyszydzenie, jakiemu uległ, ale wrodzonej jakiejs komiczności, która go narażając na szyderstwo, nie dozwoliła mu nigdy używać reputacyi przyzwoitego i porządnego człowieka, tak niezbędnie dla każdego z piszących koniecznego warunku. Często czytamy dosyć mierne prace znanych poetów, a jednak czytamy je z ochotą, i nawet nie dostrzegamy złej strony, bo imię piszącego je osłania. Przeciwnie niech człowiek okryty śmiesznością i ogólnie okrzyczany, nawet coś nienajgorszego utworzy, żadnej wiary nikt do tego nie przywiązuje i nawet nie czytając gani. Z przekonania jednak powiadamy, że gdyby Marewicz nie grzeszył raziącą oryginalnością w postępowaniu całego życia, gdyby mniej pisał, mało drukował, a mianowicie nie kwapił się z drukowaniem prac swoich, gdyby sam nie obnosił ich po domach i nie narzucał się z kupnem swoich poezyj, niektóre z nich rozpatrzone i poprawione nie zasługiwałyby może na potępienie, jak to spotkało wszystko, co wyszło z pod jego pióra.

Marewicz umarł w Warszawie w 1816 r.

F. 7866



F. 7866



<https://rcin.org.pl>